

Die 4 novembris n. st., 25 octobris st. st.

Trakt do Czernihowa

Siewierszczyzna należała do Dymitra. Gdziekolwiek ruszył on sam albo carscy pułkownicy, do jakiegokolwiek dierewni, sioła czy grodu dotarła choćby czata z jego wojska, tam zaraz bito w dzwony, otwierano bramy, a razem z kluczami do nich rzucono przed oblicze carewicza spętanych carskich wojewodów, okolicznych, a czasem bojarów, dworian i kupców. Ci zaś mogli mówić o szczęściu, jeśli ocalili życie i skórę, a od powroza i pała wykpił się sińcami, gwałtem i rabunkiem. Bo tam, gdzie namiestnicy Godunowa srożyli się ponad miarę, uzbrojony lud moskiewski szukał na nich pomsty, a jego gniew był prosty jak plebejskie sumienia. Sucha gałąź, topory, hołoble, sierpy i spisy były jedynym podziękowaniem za kilkuletnie rządy cara, jego roztropne ukazy, próby reform, rozejmów, odbudowy miast i grodów spalonych przez Tatarów. Tak odwdzięczała się moskiewska czerń za budowy składów, stoczni, umów z Kompanią Angielską, wysyłanie bojarskich synów na zagraniczne uniwersytety, z których zresztą nie wracał nikt, bo jaki światły człowiek zniesie carski knut? Podboju oraz przyłączenia Sybiru ani zwycięskich bitew z Tatarami i Szwedami nikt nie pamiętał, gramot plebs nie czytał, więc zrywał się do buntu zbrojny w berdysze i spisy, a czasem tylko w kije i kopyście, ciągnął jak rwąca rzeka do obozu Dymitra, ukochanego, wypatrywanego jak wiosenne słońce carewicza. Tego, który umiłował lud, ukrócić miał samowolę wojewodów, przywrócić chłopom juriewyj dzień – w którym mogli raz do roku opuszczać swego

pana – obalić starego, chytrego i złowrogiego Godunowa, cara-oprycznika.

Dymitr pędził ile sił w koniach i ludziach, forsownym marszem wzdłuż Desny, zajmując coraz to nowe sioła i grody. Trzeciego listopada poddał mu się oddział dworian Borysa Godunowa, przynosząc wieści, że carscy wojewodowie pozamykali się na kremlach, siedzą cicho jak myszy pod miotłą, a często w obawie buntu poobracali armaty i hakownice na podległe im miasta. Dzień później przyłączyła się doń kolejna sotnia Zaporozców i kilka watah chłopskich, przynosząc wieści o dalszych niepokojach i nieporządkach, już nie tylko na Siewierszczyźnie, ale i w Orle, w Siewsku, Kursku, a nawet samej Moskwie. Carewicz nie dawał odpoczynku. Wytrwale gnał wojsko na północ, wzdłuż rzeki, na Czernihów – stary, sławny i bogaty gród pamiętający jeszcze czasy Włodzimierza Wielkiego i Świętopełka kijowskiego.

Było popołudnie, piąty listopada, śnieg przestawał padać, kiedy na tle czerwonej łuny zachodu dostrzegli miasto położone na prawym brzegu Desny, wzmocnione Detyńcem, to jest starym kremlowskim zamkiem, opasanym ziemnym wałem, fosą i palisadą. Podzielone na kilka dzielnic, z których każda – a nade wszystko kupiecki Tretiak i Targowy Podół, leżący w dole, nad samym brzegiem Desny – miała własne obwarowania, palisady i parkany. Rzeka wiła się wśród niewysokich pagórków i ciągnących się aż po skraj widnokręgu borów jak lśniąca wstęga albo jadowity wąż w runie leśnym. Nad strażnicami, basztami i stromymi dachami domów błyszcząły złote krzyże i kopuły cerkwi – Jeleckiego i Troicko-Illińskiego monasterów. A także pojedyncza, okrągła wieżycza cerkwi Świętej Paraskewy Piatnyci na Targu, jakby żywcem wyjęta z dawnej panoramy Konstantynopola.

Kozacy dotarli tu pierwsi. W przedwieczornej szarówce widać było zaporoską konnicę pod miastem – przypadającą do wałów i odpływającą niczym morskie fale, gdy strzelnice i paprapety zaczynały jarzyć się błyskami luf, zasnuwać kurzawą

prochowych dymów. Buczyński zadbał o to, by posłać wcześniej gońców z listem do mieszczan, w którym obiecywał im złote góry oraz wielkie zwolnienia z danin i podatków, gdyby otwarli bramy przed Dymitrem. Były to zresztą – jak sam przyznawał w rozmowach z Miechowickim i Dworyckim – przysłowiowe gruszki na wierzbie, bo carska kaźnia świeciła dnem jak stary żebrak gołą rzycią i nie było pewności, czy starczy na wypłatę najbliższej ćwierci dla polskich chorągwi. Warto jednak było zaryzykować, bo dostatnie i zamożne miasto mogło stać się podstawą do wszelakich późniejszych działań przeciwko carowi Borysowi, a zwłaszcza do zimowego marszu na Moskwę.

– Poddadzą się? – zapytał niecierpliwie Dymitr, przytrzymując na munsztuku nerwowego, niecierpliwego, wyrrywającego się do przodu wierzchowca. – Dali jakiś znak?

– Nie mają chyba ochoty – mruknął Buczyński, który spoglądał przez perspektywę na mury Czernihowa.

– Pokaż.

Carewicz przytknął lunetę do oka i skierował ją na główną bramę grodu. Od razu dojrzał wystające spoza niej zakrwawione pale, na których dygotali brodaty Moskal i wygolony Kozak. Było ich dwóch; kolejnego podnoszono właśnie ponad parapety i palisady, a obok jeden z moskiewskich strzelców opuścił portki, zadarł kaftan i wypiął wprost do lunety Dymitra siny od mrozu nagi tyłek, a potem demonstracyjnie podtarł sobie golusienką panewkę rulonem papieru, pokazując dobitnie, do jakiego celu służyć może w Czernihowie gramota Samozwańca.

– Obawiam się, proszę Waszej Carskiej Mości – rzekł ścisłym głosem Buczyński – że ten na paliku po lewej to Stiopka, a po jego prawicy zasiada Konstanty Masymowicz Tielepniew z Morawska, co nam się polecał z usługami. I zamiast otworzyć bramy, otwarł sobie wrota do rajy.

– Odpowiedź brzmi: nie – chrząknął wojewoda. – Co teraz?

– Teraz posłanie zaniósł nasze działa! – warknął Dymitr. – O psy niewierne, zdrajcy, sprzedawczykowie! Poznacie smak carskiej opały razem z całym grodem! Panie Ostromecki!

– Słucham, Wasza Carska Mość!

– Zatoczyć działa pod bramy! Otworzyć ogień! Szykować się do szturm!

– Tak jest! – odparł starszy nad armatą, unosząc rękę do kapelusza i nie dodając przezornie, że salwa z samborskich śmigownic może bardziej rozśmieszyć, niż przestraszyć czernihowian.

A jednak los sprzyjał wyprawie Dymitra. Ledwie zaprzęgi z działami i jaszczami poczęły zataczać koła na skamieniałym gruncie, przy głównej bramie wszczął się rejwach. Potem już poszło prosto – i tym samym torem, co w Morawsku. Gniew mieszczan posadzkich, kupców i pospólstwa skierował się znowu przeciwko carskim wojskom. Od strony grodu przypadł skąpany w błocie, ogniu i prochowym dymie Moskał, zrzucił czapkę, pochylił się nisko w kulbace spienionego konia.

– Wasze Carskie Wieliczesstwo! – wycharczał. – Bunt w mieście. Bramy otwierają... Ze strzelcami... Biją się!

– Lećcie do Dońców Koreły i Kozaków Świrskiego! – zakrzyknął Dymitr do swoich posłańców. – Niechaj atakują! Ruszać się!

Gońcy pomknęli do sotni i pułków. Mniszech zaś złapał się za głowę całkiem jak Piotr Skarga na widok warchoła Stadnickiego w katolickim kościele.

– Wasza Carska Mość! Tylko nie Kozacy! Złupią miasto!

– Za późno – rzucił Buczyński. – Patrz, waść.

Wszystkie pozostałe sotnie zaporoskie, które do tej pory beczynnie przyglądały się harcom, uderzyły konie ostrogami. Ława kozackiej jazdy runęła ku bramom Czernihowa, zbiegła się u drewnianych, rozwartych wrót, ścisnęła, wpadła do grodu jak górski potok, porywając ostatnich carskich strzelców, trącając i roztrącając zwarty z nimi w boju tłum. A z tyłu wpadła za nimi nierówna, falująca linia kozackiej piechoty.

Walka przeniosła się na ulice miasta. W ciemnościach rąbano się szablami, bito i tratowano, kłuto spisami, walczono na pięści i zaciśnięte kułaki. Wszystkie dzwony Czernihowa zabiły

na trwożę, gdzieś blisko zamku zabłyśły płomienie. Zamieszanie trwało jednak tak krótko jak wystrzał z działa. Zaporoska nawałnica przetoczyła się uliczkami i placami w pobliże kremla. Część strzelców i dworian wiernych wojewodom zatłuczono na śmierć, zarąbano pod ścianami i na progach domów; większość jednak, widząc, co się święci, natychmiast przeszła na stronę Dymitra, wydając Kozakom dwadzieścia siedem dział rozstawionych na wałach.

Pozostali, w tym trzej wojewodowie, cofnęli się na kreml, w ostatniej chwili zatrzasnęli bramy, a kiedy jazda i piechota Zaporozców pojawiły się na placu targowym, nagle kule świsnęły im koło uszu, zagrzmiały hakownice i strzelby.

To zabołało bardziej niż słowna zniewaga. Konne zaporoskie sotnie zrobiły w tył zwrot i zamiast szturmować umocniony kreml, pomknęły na powrót ulicami miasta, znalazły bowiem lepszy i łatwiejszy cel. Mołojcy i czerń, starszyzna i sotnicy – cała zaporoska tłuszcza runęła w dzikim porywie do wnętrza dworów, domów, kramów i składów, dysząc po niedawnym boju, wymachując szablami, kiścieniami i nahajkami.

Ale bynajmniej nie po to, by zanieść mieszkańcom dobrą nowinę!

Zaporoska czerń wpadła w odwiedziny, by łupić, gwałcić i mordować.

Dymitr i jego dwór usłyszeli krzyk, jaki wzbął się nad zdobytym miastem, wrzask setek gardeł, szczęk szabel i pałaszy, łoskot toporów rąbiących wrota kupieckich bram, krzyk niewolonych Moskiewek i łoskot rozwalanych skrzyń.

– Dworycki! Gogoliński! – zakrzyknął Dymitr. – Bierzcie swoje chorągwie i jeszcze po jednej petyhorskiej. Odgońcie Kozaków od mieszczan i wróćcie im, co złupili!

Pułkownicy rozjechali się do swoich rot, zebrali je odgłosami trąbek. A potem zwarte kolumny polskiej jazdy pomknęły wprost do Czernihowa.

Dydyński i inni towarzysze, pocztowi i luźna czeladź z carskiej chorągwi wpadli w kręte, błotniste uliczki miasta jak bu-

rza. W grodzie trwał dziki rabunek, zdawać by się mogło, że Tatarzy zdobyli miasto i teraz walczą o jasyr i łupy. Kozacy wdzierali się do domów – fakt, nie zabijali, chyba że ktoś się napraszał, to znaczy stawał w obronie swego mienia i czci. Zwykle jednak rozwalali skrzynie i drzwi do komór, wyrzucali na ulice bele aksamitu i adamaszku, soroki sobolich skór, futra i kosztowne szuby. Szable i zbroje ozdabiane złotem, kitajki i rzędy końskie, kilimy, kobierce. A po nich opony, zegary, czary, półmiski, flasze i nalewaki. Srebrne i złote roztruchany, parciane mieszki ze złotymi rublami i dukatami, skóry niedźwiedzi, łosi, bobrów, kunie i jelenie. Łańcuchy i krzyże nabijane rubinami i szmaragdami, ikony w złotych i srebrnych fartuchach.

Wszystko to miało zniknąć jak w otchłani w przepastnych taborach Zaporozców, którzy na razie wyrywali sobie z rąk sztuki brokatu, caju i bombasynu, futra jenotów, marmurkowe kozuchy, chresty i ikony, kiedy nadciągnęła husaria i petyhorcy. Dworycki rzucił chorągwie do ataku – wzdłuż najważniejszych ulic Tretiaka i Podola.

Kozacy znaleźli się między młotem a kowadłem. W położeniu okonia, który ledwie przywaczył smaczną rybkę, a sam został połknięty żywcem przez dorodnego szczupaka. Husarze wpadli na nich jak orkan, stratowali, odpędzili od jeszcze cieplej zdobyczy, choć trzeba przyznać po sprawiedliwości, że Dydyński i inni towarzysze nie cięli ich szablami, płazowali tylko po durnych łbach i karkach, smagali nahajami, obalali końmi. Po pierwsze bowiem – jakoś tak głupio było im bić swoich, po drugie zaś – Kozaków w obozie Dymitra było summa summarum dwa razy więcej niż Polaków, a nikt nie wiedział, czy któregoś pięknego dnia w Moskwie los całej armii carewicza nie będzie zależał od dobrego humoru Zaporozców.

Jedynie pan Sobolewski z Ukrainy rąbał nieszczęsnych mołojców jak koronnych wrogów, nie żałując szabli. A zagadnięty przez Dydyńskiego, podniósł nań zdziwione oczy.

– Bij psich synów, rezunów! – zakrzyknął, gotując się ze złości jak bulgocący sagan na ogniu. – Wszyscy oni jednej ruskiej

kurwy syny! Dziś Moskali łupią, a jutro nam do dworów z kossami przyjdą! Tfu! Znam ja ich, plemię sobacze, poznałem dobrze za buntów Nalewajki i Łobody, co znaczy kozacka fantazja. A ojciec mój za Kosińskiego!

Pacyfikacja nie trwała dłużej niż dwa pacierze. Wnet wielkie gromady Kozaków, wyjąc i krzycząc, rzuciły się do ucieczki w stronę bramy, inni pokryli się w bocznych uliczkach albo rozpierzchli na cztery strony grodu, klnąc na proklatych Lachów, łkając na kozacką biedę i przeklinając carską niewdzięczność, która za krew przelewaną w obronie prawosławnej wiary nagradzała ich razami nahajów, sińcami i guzami zadawanymi przez polskie szable. Czern i Niżowcy rozproszyli się, pozostawiając stosy łupów wywleczonych z domów i chat. Bezpańskie dobra, skrzynie, worki, kufry i kosztowności leżały w błocie i śniegu, kusząc oko. Husarze i petyhorcy nie dali się długo prosić.

– Brać dobro, póki Dymitr nie patrzy! – zakrzyknął Mikołaj Przybyłowski, nic sobie nie robiąc z obecności samego rotmistrza. – Zabierać sobole, skóry, sztuki złociste, aksamity! Wszystko to teraz pójdzie na rachunek Kozaków. Brać chresty, ikony, ruble i dukaty! Ruszać się, psiekrwie, sam wszystkiego nie uniosę!

Towarzyszom i pocztowym nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Gogoliński i Dworycki próbowali zaoponować, ale zakrzyczano ich. Pancerne i zbrojne rotty rozdzieliły się na watahy i poczty, skoczyły do domów, rzuciły się na łup jak wilcy.

– Tutaj, mości panowie! – ryknął Przybyłowski, wskazując obszerne domostwo z podkietem, czyli piętrem, z wrotami wjazdowymi nadkruszonymi toporami, którego jeszcze nie zdołali ogołocić Kozacy.

Dydyński ruszył za nim, bo podejrzewał, że stary Mikołaj, zaprawiony w bojach jeszcze za króla Stefana, miał prawdziwego żołnierskiego nosa; wiedział zarówno, gdzie spodziewać się wroga, jak też gdzie szukać złota, jądła i dukatów.

Zeskoczyli z koni, pozostawiając je Borysowi, chwycili ławę poniewierającą się na ulicy, porwali za czekany i nadziei.



Starczyło kilka uderzeń, by rozchwierutane, potrzaskane wrota, osadzone w bramie zwieńczonej ikoną Chrystusa sędziego świata, ustąpiły. Dydyński i pocztowi wpadli do wrotnej izby, a potem na zasłane śniegiem podwórze, załomotali do drugich drzwi – wiodących do sieni, z której wspinały się na podkiet zadaszone schody.

– Otwierać w imię Boga! – zakrzyknął Przybyłowski. – Otwórzcie, my dobrzy chrześcijanie!

Mieszkańcy nie byli tak głupi, za jakich uważał ich pan Miłkołaj, a może w tym domu nie mieszkali chrześcijanie, ale po hańcy, dość, że nikt nie odezwał się po drugiej stronie.

– Do toporów, panowie bracia!

Drzwi zatrzęsyły się od uderzeń obuszków i czekanów, ale wytrzymały pierwszy szturm.

– Waszmościowie – zagrzmiał Herakliusz Świrski, który przezornie nie przyłożył ręki do wysiłku towarzyszy – to nie tak trzeba. Żelazo przynieście, trzeba podważyć od dołu, sposobem!

Nikt go nie słuchał. Sapiąc z utrudzenia, pocztowi przywlekli z podwórca dębową ławę. Wzięli rozbieg, uderzyli raz i drugi.

Drzwi padły, choć nie zastosowali się do dobrych rad Świrskiego. Dydyński i Przybyłowski wbiegli do wysklepionej sieni, dopadli schodów wiodących na piętro, załomotali podkutymi butami na wyślizganych stopniach, doszli do drugich drzwi, wiodących zapewne do gornicy, czyli głównej izby domostwa.

Spoceni, zdyszani Świrski i Nieborski razem z pocztowymi Przybyłowskiego wtaszczyli na schody poobijaną dębową ławę.

– Dawajcie! Razem! Juuuuż!

Drzwi zakołysały się od uderzeń, kopniaków, ciosów naziakiem. Pękły z trzaskiem w połowie, rozleciały się w końcu.

– Strzelą! Dalibóg, strzelą! – zakrzyczał Przybyłowski, zasłaniając oblicze rękawem.

– Na boki!

Zza obalonych, rozrąbanych drzwi błysnął ogień, huk poraził ich zmysły, uderzył w nich razem z prochowym dymem gorącym i drobinami prochu. Wystrzał chybił; Dydyński i Przybyłowski wpadli z szablami do niskiej izby, obitej brytami aksamitu.

Trzech ludzi – pewnie pachołków z czeladnej – stawiło im czoło. Dwaj młodzi, prawie dzieciuchy, jeden stary, z rozwidloną brodą, jak proszalny dziad. Towarzysze husarscy nie dali im szans. Dydyński odbił cios szabli, przytrzymał ją z dala, następujący za nim Nieborski rozłożył sługę ciosem nadziaka; Przybyłowski chlasnął swojego przeciwnika szablą w łeb, kolejnym zajął się Świrski.

Wpadli do izby rozgorączkowani, rozżarci jak wilki. W kącie, przy ławach okrytych skórami, skupiła się cała rodzina – brodaty Moskal w malinowej ferezji, kołpaku i czobotach, dwie szlochające córki w sarafanach, o obliczach wybielonych tak, jak gdyby miały zaraz położyć się do trumny albo dla odstraszenia polskich czy kozackich zalotników. Żona, tuląca w ramionach najmłodsze dziecko, z włosami podtrzymywanymi przez rogaty wołosnik, nakryty chustą, kuliła się w kącie izby, rozdygotana, płacząca.

Pan domu wystąpił z szablą w garści, ale chyba nie bardzo wiedział, za który koniec ją trzymać. Ujrzawszy, że ma sprawę nie z Kozakami, ale Lachami w husarskich zbrojach, zgiął się aż do ziemi, pokłonił najniżej, jak pozwalał mu wdęty kałdun.

– Błagodietieljom moim czelom biju, kłaniajus stopam waszym! – zajączał. – Witajcie, pany, nie poznał ja głupi, że Lachy.

– Nie poznałeś, a z półhaka witasz?! – zagrzmiął Przybyłowski. – Ty kpie, zdrajco, moskiewskiej murwy synu!

– Za, za... zawsze byłem stronnikiem jeho wieliczestwa, cawerwicz Dymitra, słoneczka naszego ruskowo...

– A to i dobrze! – zarechotał Dydyński. – Skoro jesteś poplecznikiem Dymitra, tedy godzi się, abyś zapłacił nam

zaległy żołąd. Dawaj diengi, ruble i dukaty! Albo jak skopa wybebeszymy!

– Pocze...kajcie – zakwilił Moskał. – Wy szlachetni panowie, Polacy!

– Brać dobro! – zakrzyczał go Przybyłowski. – Ruszać się, psie krwie!

Pocztowi rzucili się do komór i izb, Nieborski capnął za kark najstarszą córkę gospodarza – nie po to, by pofolgować chuciom, lecz zerwać z jej szyi sznur pereł wart parę ładnych czerwonych złotych. Dziewczyna uciekła z wrzaskiem, dogonił ją koło stołu, porwał za kokosznik, przytrzymał, rzucił na stół, by się nie szarpała. Jej ojciec skoczył za nim, wywijając szablą, z lękiem, który Dydyński wyczuwał przez najgrubsze kaftany i skóry od czasu inflanckich rabunków. Ten podły, niski strach towarzyszył zawsze zwadom zawodowych żołnierzy z chłopami i mieszczanami, którzy sprawniej niż szablą szermowali kosą, łokciem i piórem. Moskał stanął w obronie córki zbyt zdecydowanie, by go zlekceważyć, za słabo zaś, aby zrobić komuś krzywdę. Dydyński wałnął go płazem przez plecy, Nieborski porwał za nadziak, rąbnął starego drzewcem w łeb, poprawił na płask, a zakrwawiony kupiec wypuścił broń, padł na kolana.

To był stary inflancki sposób na zapewnienie sobie kilku chwil spokoju – wypatrzeć najstarszego i najczcigodniejszego domownika, a potem rozwalić mu łeb, względnie chlasnąć szablą przez głowę. O ile czeladź była już pobita, reszta niewiast, dzieciaków i służ rzucała się, by opatrywać i przytrzymywać włodarza, dając tym samym sporo czasu na przeszukanie domostwa.

Nieborski zerwał z szyi dziewczyny upragniony sznur pereł, białe kule trysnęły na wszystkie strony. Te, które złapał w ręce, od razu przesypał do mieszka.

Na gwałt nie było czasu, nie sposób zresztą swawolić, mając na sobie husarską zbroję ważącą prawie pół kamienia. Aby ujeździć dzierlatkę, trzeba bowiem nie tylko podciągnąć z przodu folgi, ale także podtrzymywać je jedną ręką, by nie opad-

ły ze skutkiem groźnym dla trwałości rodu towarzysza. A to już ogranicza znacznie pole manewru, tak samo jak nie można walczyć, mając obie ręce zajęte i siedząc na nieujeżdżonym, narowistym koniu, który nie chce skręcać od samego dosiadu jeźdźca.

Świrski i pocztowi Przybyłowskiego rzucili się w tym samym czasie na skrzynie i skarbczyk, szybko i sprawnie jak wilki. Nie wydzielali sobie bowiem z rąk zdobyczy jak Kozacy – wiadomo było przecież, że wszystko zostanie równo i sprawiedliwie podzielone w ramach pocztu – więc oszczędzali czas, kierując się nie przeciwko kompanom, lecz na łupanie coraz to nowych skrzyń i kufrów podsuwanych przez Świrskiego.

Odbili kłódki, rozwalili zamki i dobrali się wreszcie do roztruchanów, ampułek i srebrnych talerzy, mis i złożonych półmisków. Do soroków sobolich, futer z jenota, wilka i niedźwiedzia, zapon i zawieszek, sznurów pereł, rubinowych i diamentowych pierścieni, chrestów i czar. Do kozuchów, sarafanów, szub i terlików haftowanych złotymi nićmi, włośników wyszywanych perłami, diamentowych kik i kokoszników.

A potem porwali ścienne opony z kitajki; rozsierdzeni, że w skrzyniach było mało złota, tłukli ławy i stolce toporami, rozwalali piece, grzebali w kominach. Dydyński i Przybyłowski skoczyli do bocznego sennika, nieogrzewanej letniej izby, gdzie w rogu komnaty wisiał rząd ikon błyszczących srebrnymi i złotymi okuciami koszulek. Mikołaj przeżegnał się, a Jacek tylko skłonił głowę. A potem chwycił srebrną ryzę i zerwał ją z oblicza Maryi, zdjął najcenniejszą jego zdaniem ikonę – z Michałem Archaniołem, zdobioną złotymi koronkami, odrywał, odginał błyszczące okucia, zawinął wszystko w aksamitną płachtę.

Moskiewska rodzina skupiła się przy jęczącym, ledwie żywym brodatym kupcu. Córki krzyczały, żona szlochała, dziecko wyło jak pies. Moskiewka raz czy dwa rzucała się z pazurami na czeladników wywlekających jej skarby z powałuszy, czyli bocznej izby, ale zamilkła odpędzona kilkoma kułakami i kopniakiem. Szlochająca, rozdygotana, w porwanej szubie,

wodziła za Polakami nienawistnym wzrokiem, jak wilczyca tułacząc się do siebie dzieci.

– Każcie Borysowi wyprowadzić konie ze stajni! – zawołał przytomnie Dydyński. Wszak rumaki i wierzchowce były na wojnie o wiele cenniejszą rzeczą niż złote dukaty.

Wychodzili z dworu obciążeni łupem, pozostawiając po sobie rannych i ledwie dychających, szloch, łzy, zrujnowane izby i ślady krwi na kobiercach. A nade wszystko pamięć o krwawym rabunku, która jednak zbladła zapewne w kolejnych dniach wojny moskiewskiej, wraz z każdą nową bitwą czy zdobytym miastem. To był przecież dopiero początek ich marszu na Moskwę.

Trąbki wzywały ich do powrotu. Wyprowadzili trzy konie gospodarzy, wrzucili futra i srebra do juków, byle jak, gubiąc naczynia i roztruchany. Wysłali Herakliusza i jednego z pocztowych Przybyłowskiego z tym wszystkim do obozu, a potem pognali do porucznika. Gogoliński stał w bocznej uliczce jedynie ze swoimi pocztowymi.

– Mości panowie – zagrzemiał – trzeba iść pod kremł z panem Buczyńskim, wezwać wojewodów do poddania! Pojedźcie za jego ludźmi, z pocztami jako zbrojna eskorta. Pod białą flagą.

Poszli ku kremłowi rażną rysią, bryzgając lepkiem błotem, grzęznąąc w śniegu. W Czernihowie panował totalny galimatias, jak w zamtuzie w czasie pożaru. Tu jeszcze Zaporozcy dobierali się do domów i kleci lub uchodzili przed petyhorcami, tam zaś uliczkami waliły wielkie kupy mieszczan i strzelców, podrzucające do góry czapki i kołpaki i wiwatujące na cześć Dymitra. Ponieważ niektórzy Moskale krok mieli dość szeroki i chybotliwy, Dydyński odgadł, że musieli świętować wyzwolenie Czernihowa gorzałką, której spore zapasy rabowano na targowisku, po powieszeniu dzierzawcy kabaka i zatłuczeniu kijami na śmierć jego żony i dzieci. Fortuna jednak toczyła się kołem, a sam stolnikowic dumiał nad tym, co się stanie, kiedy ogromna większość świeżo nawróconych stronników Dymitra

przekona się, że kiedy iskali w grodzie zauszników cara Borysa, w nagrodę za wierność Samozwańcowi, Kozacy zrabowali ich dwory i chaty. To znaczy tak naprawę zrabowali je Polacy, zrzucając całą winę na Zaporozców... Mocno się to wszystko pokomplikowało. Jak zwykle na wojnie.

Zanim zajechali przed bramę kremla, Buczyński zamachał z daleka białą flagą, kazał trębaczowi zatrąbić. Podjechali pod wrota, łypiąc spode łba na zamkowe strzelnice, czy aby bracia Moskale nie dadzą im za chwilę powąchać prochu.

Nad parapetem na wartowni zamajaczyły dwa futrzane szyki, a potem pojawiły się pod nimi dwie brodate, rozkudłane moskiewskie gęby. Jedna stara, poryta bruzdami, skrzywiona w złowróbnym grymasie, druga młodsza, gładsza, ale po równi złośliwa.

– Wy tam, pizdiuki! – zawołał starszy. – Czego chcecie?!

– Przynosimy słowa od carewicza Dymitra. Z bożej łaski prawego naslednika, carskiego dziedzica, wielkiego księcia moskiewskiego, twerskiego i nowogródzkiego...

– Ty bliadun! Tak i przestań szczelkat’ jebalnikom! To my już sami wiemy, kto to Dymitr. Czego od nas chce?!

– Dymitr Iwanowicz, z bożej łaski carewicz moskiewski, żąda, abyście poddali kreml i wyszli w pole ze strzelcami, pozostawiwszy działa, prochy, lonty i kule. W zamian za to najjaśniejszy carewicz obiecuje, iż zachowacie życie i mienie oraz będziecie mogli pójść, dokąd zechcecie – choćby wrócić do cara Borysa.

– Wot pizda bisurmanskaja! – jęknął starszy. Dydyński zgadywał, czy był to Szeremietiew, czy też Tatiew, a może Izmaïłow. – Wrócić do cara! Też mi łaska. I co, mamy powiedzieć Godunowowi, że oddaliśmy rostrydze najbogatsze miasto na Siewierszczyźnie?! To co, ty myślisz, gosudar nam zrobi? Ot, połączajem chuj za rabotu!

– Miasto i tak straciliście! – zaoponował Buczyński. – Ile jeszcze będziecie się tu bronić? Mamy działa, mamy prochy! Posadzcy są z nami!

– Niech tu przyjedzie Dymitr! – zawołał młodszy. – Z nim chcemy gadać, nie z wami!

– Jeśli Jego Carska Mość przybędzie, to tylko z armatami i z piechotą. I nie łudźcie się, że rozmówi się ze zdrajcami i słuźalcami fałszywego gosudara inaczej niż tylko za pośrednictwem kul! Nikt z was tu nie zostanie żywy, kiedy Kozacy i piechota wezmą kreml.

Powiedział to w samą porę. Z tyłu, z uliczek wychodzących na plac, rozległ się chrzęst setek stóp, brzęk metalu. Wyszły z nich długie i uporządkowane kolumny piechoty niemieckiej Mniszcha, hajduków i zebrani wreszcie do ordynku Kozacy z pochodniami w dłoniach. Podążali, niosąc drabiny i osęki, prosto w stronę wrót. Starszy z Moskali – Dydyński domyślał się już, że to Szeremietiew – spojrzał na wojska z obawą, skurczył się, jakby przemógł go ciężar marmurkowego szyłka. Drugi z nich nie patrzył na wyłaniającą się z półmroku piechotę, wpatrywał się bowiem w... Dydyńskiego. Nie! Chyba w Borysa, którego koń stał, dotykając chrapami zadu Hetmanki.

– Macie dwie kwatery na podjęcie decyzji – pogroził im pięścią Buczyński. – Albo sami zejdziecie tutaj w pokorze, albo dobędę was z kremla jak susły! Ze wszystkimi tego konsekwencjami!

Moskale znikli jak duchy. Buczyński odjechał od bramy. Stanęli przy piechocie gotowej do szturmu. Konie rzucały łbami, Hetmanka boczyła się, zakwicziała, spłoszyła się czegoś, może ducha, a może po prostu była zła, że nic się nie dzieje.

Jan Buczyński był równie spięty i zdawać by się mogło, że starczy tknąć go palcem, a eksploduje jak kartacz. Widać pochopnie przyobiegał Dymitrowi, że skłoni do poddania Szeremietiewa i Tatiewa. Słówko wyleciało wróblem, a wróciło wołem...

Czekali. I doczekali się. Nagle wrota kremla rozwarły się, stanęli w nich strzelcy z puszczelami. Lufy samopałów mieli opuszczone w dół, kroczyli, spuściwszy głowy, jakby chcieli schować swój wzrok pod ziemię.

Wiódł ich młodszy z Moskali, ten, z którym negocjowali przed bramą. Za nim ciągnięto w łańcuchach starego Szerebietiewa, który szedł skulony, rozdygotany, wściekły.

Młody bojar skłonił się uniżenie.

– Poddajemy się. I zdajemy na łaskę nowego gosudara. Pro-
wadźcie do Dymitra!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki